

Etienne Gilson

Gdzie jest Chrześcijaństwo?

Gdzie poznałem Chrześcijaństwo?

Poznałem je w książkach, co prawda, gdyż nie możliwe jest pisać i uczyć historii średniowiecza bez jakiegokolwiek spotkania z tą tak żywą, tak różnorodną, tak trudną do zdefiniowania rzeczywistością. A mimo to wierzę, że poznałem tę rzeczywistość w niej samej i że tak powiem, doświadczyłem jej w wielu spotkaniach w ciągu życia, które nie wiele mniej było tułacze niż trzynastowiecznego nauczyciela. Gdzie, zatem poznałem tę rzeczywistość Chrześcijaństwa? Sama nazwa przywołuje w mojej pamięci mnóstwo kościołów, wielkich i małych, które witały mnie czasem dając schronienie na godzinę, kilka tygodni, nawet miesięcy, gdy nauczałem niczym dawny wędrujący scholarz jeżdżąc z miasta do miasta. Jak nazwać je wszystkie? Jest ich tak wiele do zapamiętania, a istnieją takie, których imion już nie pamiętam choć po wielu latach ich obrazy ciągle do mnie wracają wzbudzając te same uczucia, których doznałem raz tylko do nich wchodząc.

Jaka była nazwa tego kościoła w Chicago, niedaleko dworca, na prawo przy wjeździe na Michigan Avenue? Już nie pamiętam. Za to jak dobrze było tam być, jaki spokój umysłu mnie tam czekał, gdy opuszczałem ulice wielkiego miasta! Nic nie zakłócałoby ciszy, gdyby nie lekkie sączenie wody z Jeziora Michigan, spadającej kropla po

kropli do grotty Lourdes. Gdzie byłem? Ani w Ameryce, ani we Francji, ani w jakimkolwiek geograficznym punkcie Ziemi. A mimo to osiągnąłem cel podróży, ponieważ byłem w domu: byłem w Chrześcijaństwie. I ty, kościele św. Agnieszki w Nowym Yorku, który każdego roku celebrujesz Pasterkę zaledwie o dwa kroki od Grand Central Station; ty, kościele św. Pawła, moja parafia w Cambridge podczas gdy byłem w Harvardzie; ty, Kościele św. Bazylego, moja parafia z Toronto, nie nazwę cię moją rodziną?; ty, Notre Dame of the Assumption, osadzony nad Rio de Janeiro, pośród bananowych ogrodów, między najpiękniejszym niebem i najpiękniejszym morzem na świecie - nie byliście wszystkimi moimi parafiami, gdy opuszczałem moją własną? Ta sama msza, ci sami kapłani, ta sama komunika w tym samym Bogu dana przez tych samych kapłanów wiernym w tej samej wierze - wszystko to tworzy, w każdym momencie i na każdym miejscu, ogromne duchowe społeczeństwo, które nie zna ani geograficznych barier, ani politycznych granic i w którym Chrześcijanin zawsze czuje, że jest w domu. Jak zapomnieć tamten skromny kościół w Bloomington, który przez tydzień był moją parafią, kiedy w roku 1940 nauczałem w Indiana University. Była to moja pierwsza msza w tym kościele. Wszyscy - lub prawie wszyscy - przyjęli komunię, kiedy chórzysta opuszczając świątynię, przeszedł przez cały kościół do ostatniego rzędu ławek gdzie, jako obcy, zająłem swoje miejsce. Z złożonymi rękoma uklonił się nieznacznie i zachowując doskonałą powagę na twarzy wyszeptał: „Ksiądz życzy sobie poinformować Pana, że jeśli nie zje Pan z nim śniadania na probostwie, zostanie Pan ekskomunikowany!”. Tak stałem się członkiem tej parafii, a także uczyłem się na niej każdego dnia, że *Chrześcijanin* gdziekolwiek by był, *nie jest obcy w żadnej parafii, ponieważ gdziekolwiek istnieje parafia on stoi na Chrześcijańskiej ziemi. Ale, zapytajmy jeszcze raz, gdzie poznałem Chrześcijaństwo ?*

Pozwólcie cofnąć się dwadzieścia lat całych przepełnionych tak wieloma tego typu wspomnieniami. Pozwólcie zatrzymać się na moment w sierpniu 1926 roku w Charlottesville, w czarującym Uniwersytecie Virginia, gdzie podwójną kolumnadę Jeffersona z taką gracją otaczają wiecznie zielone trawniki. Jakże mówić o osobliwym wdzię-

ku tej części Stanów Zjednoczonych, gdzie rozpoczyna się południe z jej wszędzie obecną cywilizacją starego świata i tą wytworną dworskością obyczajów, która dawno temu żyła, podobno we Francji? Odkrywam ją znowu w moich kolegach, moich studentach, i jak mi się wydaje, między kolorowymi ludźmi, których można spotkać wszędzie i którzy trudnią się najbardziej upokarzającymi zawodami życia społecznego. Czy przyznać mam, że tajemnica ich uśmiechu i słodycz, ich śpiewnej mowy pociągały i zaintrygowały mnie od przyjazdu? Między tymi ludźmi i mną różnica w kolorze wzbudza barierę nie do pokonania. Ani jeden z tych ludzi nie może być wciągnięty między moich studentów, nawet jeśli w swoich żyłach ma zaledwie jedną kroplę czarnej krwi. Prawdy, którą uczę innych takiej osoby nie mogę uczyć. Nie mógłbym, nie narażając się na publiczny skandal, zaprosić jej na *lunch* i, jak zdarzyło mi się to na początku pobytu, popełniłbym błąd siadając przy niej w autobusie; konduktor stanowczo zaproponowałby mi wówczas zajęcie innego miejsca, bowiem miejsca dla białych są dla białych, a te dla czarnych są dla czarnych. Pozwólcie jednak nie osądzać. To złożone problemy, których istotne czynniki niewątpliwie mi się wymykają. Zamiast tego, wejdźmy do katolickiego kościoła w Charlottesville podczas celebrowania mszy. Nie powiem, że czarni nie mają tendencji do grupowania się razem, ale to niewątpliwie sprawa zwyczaju, gdyż grupy mieszają się wzajemnie i jest wyraźnie jasne, że żadna ławka na uboczu nie jest przeznaczona wyłącznie dla nich. Istnieje jednak jeden specjalny moment podczas mszy, kiedy nawet społeczne zarządzenia separujące ich, wydają się zanikać: to moment komunii. Związani tą samą wiarą, wszyscy jeden za drugim, razem udają się, by klęknąć przed tym samym stołem, tego samego Ojca, dla którego wszyscy są jednakowymi synami. Czy przyznam, że spodziewałem się znaleźć tam mój kościół? Tak, to był on, i poznałem go przez ten znak. Prócz tego, w tym czasie nauczyłem się, że *gdziekolwiek miłość Boga łamie bariery rasowe i klasowe, również tam znajduje się Chrześcijaństwo.*

Ostatecznie, jednak, gdzie poznałem Chrześcijaństwo? Pozwólcie pojechać jeszcze dalej w przeszłość. We wrześniu 1922 roku, byłem w Moskwie, w Rosji wstrząsanej rewolucją i niszczonej głodem. Na

dworcach byłem witany portretami Lenina i Trockiego, a na skwerach popiersiami Karola Marxa. Być może kościół katolicki ciągle gdzieś pozostawał w Moskwie, ale wątpiłem w to, i jakkolwiek rzecz by się miała naprawdę, nikt nie był w stanie mi go pokazać. Z drugiej strony, wędrując w górę i w dół ulic, doszedłem do kaplicy stykającej się z Placem Czerwonym i murami Kremla. Rzut oka w mój baedeker poinformował mnie, że stałem w obecności jednej z najślawniejszych świątyń Rosji, Iwerskaja Tchassownia lub Iberyjskiej Kaplicy Matki Boskiej. Przewodnik dodawał prozaiczną uwagę: „Kaplica jest zwykle pełna ; uważaj na kieszonkowców.” Faktycznie była tak pełna, że wielu wiernych nie było w stanie wejść, by się modlić klęczeli na stopniach, na ulicy i przy murach, za którymi siedzieli na straży sam Lenin i najwyższy sowiecki rząd. Nigdy nie dowiedziałem się czy ten lub tamten chrześcijanin był kieszonkowcem. Ale to wiem na pewno. Po tej samej stronie ulicy, między dwoma strażnikami szedł w naszą stronę więzień. Jeden z obecnych chrześcijan powstał, podszedł w jego kierunku i przekazał mu pocałunek pokoju. Jestem pewien, że tego dnia przed Iwerskaja Tchassownia widziałem samego Chrystusa pocieszającego cierpiącego człowieka. W tym czasie nie byliśmy w kościele i człowiek ten nie był katolikiem, ale on nauczył mnie, że *gdziekolwiek mój sąsiad jest Chrystusem, tam również znajduje się Chrześcijaństwo.*

Do tych różnych doświadczeń każdy jeden z nas mógłby dodać wiele innych, które prawdopodobnie byłyby jeszcze bardziej odmienne. Warto wiedzieć jak spiąć je razem w jedność. Nic nie byłoby bardziej wygodne niż zredukowanie ich wszystkich do pewnego prostego pojęcia. Ale chyba nie jest to możliwe i jest pewnie godne uwagi, że teologowie nigdy nie próbowali tego zrobić. Przez stulecia ludzie używali terminu *Chrześcijaństwo*, lub jego łacińskiego odpowiednika *Christianitas*, na oznaczenie czegoś innego niż Chrześcijaństwo, ale to nie jest oczywiste, że jakiś wysiłek nie został podjęty dla precyzyjnego zdefiniowania odpowiadającego pojęcia.

Dość powiedzieć kilku teologom o Chrześcijaństwie i zaobserwować ich spontaniczną reakcję by zrozumieć jak to się stało, że do tej pory nie mamy teologii Chrześcijaństwa. Jeśli tylko zapytamy o definicję, oni zredukują je do pojęcia Kościoła, bez którego faktycznie

Chrześcijaństwo jest niepojęte. Samo pojęcie Kościoła może umożliwić nam ustanowienie Chrześcijaństwa na solidnym fundamencie, ale istnieje powód by myśleć, że w pewnych punktach Chrześcijaństwo odróżnia się od Kościoła. Niewątpliwie pojęcie Kościoła, pojmowane jako duchowa wspólnota w swojej istocie, koniecznie zawiera w sobie coś czasowego. Jest to bardziej widoczne w Watykanie, niż gdziekolwiek indziej. Ponadto, aby upewnić się co do tego, trzeba tylko pomyśleć o olbrzymiej organizacji „Eklezjalnej Hierarchi” - przedłużenia na świat „Niebiańskiej Hierarchi” - by mieć realizację wielu wcieleń, za pomocą których Kościół okrył cały świat. Uświadommy sobie, jednakże, że to czasowe wcielenie Kościoła jest tym, które dał on sobie jako Kościołowi i które dlatego jest całkowicie uduchowione. Hierarchia wywodząca się od papieża w dół, do najbardziej prostych wiernych; kościołów, misji i parafii z wszystkimi swoimi chrześcijańskimi członkami; tych niezliczonych klasztorów z ich religijnymi mężczyznami i kobietami; w końcu tych wszystkich instytucji, czy to wcielenego miłosierdzia, czy to nauczania, które formują rozkwit i wzrost chrześcijańskiego życia w łasce w porządku czasowym - wszystkie te przejawy są niczym innym jak tylko duszą samego Kościoła w jego zmysłowym wcieleniu, a przez to widzialne dla naszych oczu. Stworzone przez Kościół i dla jego celów, czasowe ciało Kościoła jest integralną częścią samego Kościoła; i oto dlaczego nie jest to dokładnie czasowość Chrześcijaństwa. Jako podmiot państwa, my chrześcijanie wszyscy jesteśmy członkami społeczności, której państwo szuka wspólnego czasowego celu; jako podmiot Kościoła wszyscy jesteśmy członkami społeczności, której Kościół szuka wspólnego duchowego celu, i ta bardzo czasowa część Kościoła jest całościowo nakierowana na ten cel; jako członkowie Chrześcijaństwa jesteśmy częścią trzeciej grupy społecznej, tej która nie jest ani całkiem państwem, ani całkiem Kościołem, ale tej, która jest uformowana przez różnych członków, różnych państw, tak daleko, jak są oni świadomi przynależności do tego samego Kościoła i bycia wszystkimi uczniami Chrystusa.

przeł. Tomasz Rakowski